

LaTo(?) 2004

LaBestia

pismo z kręgu RSA

19

ten numer sponsorują
literki H.R.y.Ń - dzięki
za 100 haksów

WSTĘP do krótkiego kursu SPOŁECZNEGO AIKIDU

Anarchizm XIX-wieczny walczył z rządem, kapitałem, czy kościołem i innymi formami panowania, bo te nie dawały ludziom żyć, trzeba było walczyć na śmierć i życie! Wiedzieli o tym obie strony, nie było zmiłuj! Ta walka dała owoce, elity ustąpiły masom, rzuciły trochę ochlapów - a szczególnie skore do rzucania były za komuny, to znaczy, ze strachu, że jak się nie podzielią z ludźmi tym, co ci ludzie wytworzyły. Dziś, gdy szlag ją trfiał znów dociskają śrubę. Ale nawet teraz, przynajmniej na Zachodzie wśród młodzieży z dobrych domów, gdzie tak wielu jest anarchistów, da się żyć. Więc anarchizm społeczny (czyli próba zmiany całego systemu) zmienił się w anarchizm stylu życia, co widać już w '68 i co przesądziło o jego rozmyciu się. Nie klęsce - kulturowo przeorał system głęboko na tyle, że luz to wręcz jego główny slogan reklamowy, źródło jego siły w epoce kapitalizmu [zysku z konsumpcji, a nie produkcji. Ale właśnie to sprawia, że trudno mówić o sukcesie '68. Kontestacja stała się wentylem bezpieczeństwa, a co gorsza, doskonałym reformatorem systemu tak, by nic nie zmieniając w istocie rzeczy (niesprawnie zmniejszły się i wręcz rosły), uczynić go bardziej znośnym dla ogółu. Jednak kontestatorzy tego nie widzą, za piepowtarzając XIX-wieczne rewolucyjne slogany, bo dziś to już nic nie kosztuje a dobrze im robi na moralnego kaca i poczucie bejsiły wobec systemu.

List otwarty do przyjaciół alter-Bestii

A lato było brzydkie tego roku, aż żyć się odechciwa. Pewnie przez to, że panią Marę topili w Wiśle nie tak. Spłynęła ku ujściu i pod Gdańskiem utknęła - co tam u Was się dzieje, bo to ważne, by coś się działo, lepszy ruch niż bezruch. Mimo tego i nam się zmarło, i pogoda jak w Marcu. I nie tylko w naturze. Niby mury runęły, System ma ludzką twarz Telewizora, minister został Waszym świętym. Przemarsz zakończył się sukcesem, bo można być anarchistą i przestrzegać prawa, i jak wszyscy myśleć o robotnikach, co to nic nie kosztuje. I co? I nic! Nie wiem, co robić, może, zamiast zakładać komitety, spalcie fajkę za mą duszę. Wasz Jacek
PS. A te-e-en, ko-ko-lega, co mó-ó-ówi, że mnie-e zastą-ą-ąpi, to kła-a-amie, jak Gaze-e-eta.

Gdy nie idzie nic zmienić w realiach, zawsze można powalczyć w sferze symboli, stąd tak duże zaangażowanie ruchu w walkę o nie, np. sprawy legalizacji aborcji, gejów, marihuany itp., czy wojnę w Iraku – to na tyle abstrakcyjne dla nas, że wydaje się dość bezpieczne, a bardzo pasuje na symbol „walki z istotą systemu”, jego centrum – USA, co zresztą pasuje drugiej stronie, nie tylko z uwagi na jej fundamentalizm, ale i odwracanie uwagi od rzeczy naprawdę ważnych. Efekt (wojna fundamentalizmu – politycznej poprawności) sprawia, że wszyscy są zadowoleni a system ma się dobrze. A jak nic z walki nie wyjdzie, nikt z tego powodu głodny nie będzie (nb., może to, iż „mamusia ich kocha”, sprawia, iż mało który działacz czuje się zmuszony zajmować realiami, na tyle przyciśnięty do muru, by zacząć walczyć na serio – dziś nie ma nawet takiej błazenady jak RAF czy Czerwone Brygady a imidż bojowników nie zmienia faktu, że Czarny Blok, choć w kominiarkach, szedł grzecznie na anty-szczycie w Warszawie). Siły prawdziwej nie ma więc, a ta, która mogłaby być (z przekonania, a nie interesu życiowego), jest trwoniona na działania jałowe – weźmy np. sprawy obyczajowe, o jakich wspomniałem wyżej. Opinia publiczna jest w kwestiach aborcji, narkotyków czy religii w szkole pół na pół podzielona na ogół, więc jest mała szansa, by osiągnąć konsensus (wszystko jedno, w sprawie legalizacji, delegalizacji czy w jakiejś innej postaci). Można próbować wymusić na władzy tą czy inną opcję wbrew opinii publicznej. Tak próbuje grać kościół, bo wie, iż otwartego sporu o publikę nie wygra, ale tak próbują działacze i działacze niezależni (może z tego samego powodu). Nie rozumieją przy tym, że walka o delegalizację nazistów czy legalizację służb dla gejów to pomysł samobójczy – nie tylko nie ma szans w tej konkretnej sprawie: referendum może wykazać, że fanów takiej wolności (w granicach prawa) jest niewielu, a odwołanie do rządu nie daje gwarancji, że weźmie on naszą stronę. Ale jest jeszcze gorzej, bo wchodząc w tą grę – uznajemy jej reguły (ogół czy rząd mają prawo decydować za nas, co nam wolno, a czego nie). O ileż rozsądniej byłoby powiedzieć, iż nam to nie pasuje, że chcemy, by w kwestiach nie mających jednoznacznej oceny moralnej nie mógł za nas decydować (co wolno, a czego nie) nikt – poza tymi, których to dotyczy bezpośrednio, a i to w każdej sprawie z osobna (w razie sporu można by się odwołać do sądu cywilnego a nie ścigać z urzędu nawet tam, gdzie żadna strona tego nie chce). Opcja taka mogłaby liczyć na zrozumienie ludzi, któ-



rzy bądź nie mają swego zdania w danej sprawie, bądź są umiarkowani i gotowi do kompromisu (a tacy, przeciwnie do fanatyków z obu stron, stanowią większość). Byłby to też dobry pomysł do działania na rzecz wycofania się państwa z życia społecznego w ogóle, bo gdyby to zadziałało tu, to czemu nie przenieść tego na inne sprawy (co zresztą samo się w wielu kwestiach zdarzy wobec niechęci liberałów do dbania o zdrowie, szkoły czy opiekę społeczną). Kontestatorzy wolą jednak tak jak władza bić się o narzucenie swojej jedynie słusznej wizji cudzego życia innym i mamy zamiast tego rząd, co grając aborcją np., może nami manipulować: dzieli i rządzi, odwracanie uwagi etc. Przerabialiśmy to wiele razy, sprawa nie jest załatwiona po myśli żadnej ze stron i nigdy być nie może – co 4 lata opinia odda władzę nowej ekipie, a ta znów coś zmieni czy tylko obieca to przed wyborami. W ten sposób wkręcamy się w bajkę bez końca, a to co istotne nam umyka.

A co jest istotne? To zależy, np. dla znudzonego studenta balanga, która nie ma końca i jeśli akurat jego hobby jest bycie działaczem, nie ma on nic przeciw temu, bo w ten sposób starczy mu na całe życie (albo póki nie uda mu się dojrzyć) tematów do kontestowania. A normalnie – dom, praca i takie tam (szerzej: społeczność, w której się żyje, zdybywanie środków na zaspokojenie potrzeb – warunki realizacji swoich pragnień). I tu wracamy do tematu społecznego wymiaru życia – wielu ludzi nie ma pracy, jak ją mają często muszą godzić się na kiepską płacę i brak poszanowania ich godności. Przyjemniej byłoby pracować u siebie. Podobnie z mieszkaniem (idzie nie tylko o dom, ale społeczność, w której się żyje). Faj-

nie byłoby też móc realizować swoje marzenia, nie musieć wybierać między pracą czy rodziną i działalnością społeczną etc. Czy to możliwe? A czy ktoś spróbował? I to jest właśnie ten pomysł dla działaczy, jak połączyć pracę z działalnością a działalność z normalnym życiem (dziś przypomina ona wiarę katolików – na co dzień siedzimy w syfie, ale od święta kontestujemy go na demonstracjach czy wykładach o tym, że inny świat jest możliwy – są cotygodniowe spotkania i wielkie akcje, jak owa procesja Bożego Ciała na anty-szczycie w Warszawie). A zacząć trzeba od nie-działania i wycofania się z konfrontacji z systemem tam, gdzie mu to pasuje. Takim terenem jest polityka – walka o władzę i o tworzenie prawa, o rząd dusz, opinię publiczną – co mamy jej na serio do zaproponowania? Public system w pełni odpowiada, jeśli coś jej nie pasuje, to raczej jej kiepskie miejsce w systemie, a nie to, że istnienie i że jest niesprawiedliwy (o wolności nie ma nawet co gadać, pewno sami działacze poczuliby się tu zagubieni, gdyby rząd z dnia na dzień przestał istnieć – kogo bowiem by się kontestowało, że nie wspomnę już o tym, kto by ich musiał utrzymywać). Dziś nie ma tak prostej sytuacji jak była za komuny czy u Marksa, że człowiek od razu wiedział, kto wróg, a kto swój – z kim i przeciw komu walczyć. Ba, nawet tam, gdzie to wiadomo (np. w fabryce, która okrada swoich pracowników), ludziom trudno iść na całość (o ile za komuny robotnicy walczyli o samorząd, o tyle dziś są gotowi wyrzec się go nawet tam, gdzie przez zbieg okoliczności fabryka stała się ich własnością – tak było np. w Brodnicy, gdzie sami uratowali swój zakład, który właściciel kupił od państwa i doprowadził do ruiny, a następnie sprzedali go nowemu, szło bowiem o to, by ktoś urządził im w życiu wszystko, a nie by robić to samemu). Mało więc chętnych do tego, by się rządzić samemu (wiara w dobrego rządu jest łatwiejsza), by robić na swoim itd. Naiwna jest więc wiara, iż można zmienić to agitacją (wbrew interesom czy odczuciom ludzi), chrześcijaństwu nie udało się przez 2 tysiące lat ta sztuka. Jak człowiek czegoś sam nie czuje, nie kupi bajki, a nawet jak kupi – będzie żył po staremu, tyle że w zakłamaniu. Nie warto więc dziś (nie wykluczam, że kiedyś się to zmieni) walczyć o masy, a w każdym bądź razie – walczyć gadaniem i demonstrowaniem. Getto jest dziś nieuchronne. Musimy zająć się sobą.

Nie idzie oczywiście o rozwój ruchu jako sztuki dla sztuki, o to, by demonstracje były większe a pismo docierało coraz szerzej do mas – idzie raczej o stwo-

zenie swego świata obok, poza układem, poza rynkiem – wyścigiem szczurów. Jeśli jest nas dość wielu i dość poważnie bierzemy nasze ideały (to znaczy – nie tylko wierzymy od święta, ale chcemy nimi żyć na co dzień), możemy zacząć budować własną społeczność – miejsce do pracy i życia – najlepiej jako jedną całość. Dziś już wiele można (to nie komuna, co niszczyła każdy przejaw samodzielności) a mimo to mało kto próbuje, a jak już, to jakby na niby, jak ze skłotem – jak nam zabiorą strata będzie niewielka, bo to nie nasze. Taka tymczasowa strefa autonomiczna – czemu nie trwała? A jak będzie co bronić, to i walczyć będzie się na serio, choćby na śmierć i życie. Ale może to właśnie przeraża kontestatorów od konsumpcji. Taka rewolucja od święta, jak każda inna balanga, ma jedną zaletę – w każdej chwili można wyjść i nawet nie dbać o to, kto po nas posprząta. A swój dom, zakład pracy czy społeczność takiego luzu nie dają – nie ma gdzie pójść, żal to zostawiać, więc trzeba brać rzecz serio. Ale może mimo to warto spróbować. Uchylić się władzy, zająć się sobą naprawdę tworząc coś, co może – jeśli zadziała – stać się lepszą agitką niż wszystkie nasze demonstracje i ulotki razem wzięte. Bo ma to wiele zalet, jeśli nawet nie da się zrobić wielkiego biznesu i starczy tylko na przeżycie, to i tak jest już dobrze. Ogół nie ma ambicji dorwania się do koryta, starcza mu, gdy nie jest głodno i jest miło, a we wspólnocie zawsze można zrobić, by tak było – bo to i ludzie pomogą, i w kupie rażniej. Niezłym sprawdzianem może być tu akcja Jedzenie Zamiast Bomb, wymagająca sporo pracy i to systematycznej, koordynacji działań większej grupy osób itp. Można tu przejść do robienia go także dla siebie, tworzenia zaplecza (od lokalu po działkę warzywną etc.), można też wciągać do niej ludzi z zewnątrz (np. pomagając biednym zorganizować się w grupy sąsiedzkiej samopomocy bez liczenia na zasiłek od władz). Ale to może dotyczyć wszystkiego, po części to już się dzieje, ludzie tworzą sobie kluby czy media, zamiast iść z książką do wydawnictwa można ją wydać samemu, zamiast nudzić się dla papierka (co i tak nie da pracy) zająć się samokształceniem, jednak najważniejsze pozostaną takie sprawy, jak własny / wspólny dom i praca – i to od nich należałoby zacząć budować własny świat, a nie „walczyć” o to, by się nań państwo zgodziło czy ludzkość chciała kupić. Czasem ta agitacja wygląda tak, jakbyśmy sami nie wierzyli w anarchię i chcieli by ktoś inny zaczął, a jak nie inny – to wtopić w to razem. Zaryzykujemy?!

Kilka słów o konkulturze poczynianiami Majora sprowokowanych książką:



Żywoty Mężów Pomarańczowych

Waldemar Major Frydrych



Na początku pewnego roku akademickiego na rynku księgarskim pojawiła się książka autorstwa Waldemara „Majora” Frydrycha – weterana happeningowej guerilli, kombatanta konkulturury okresu schyłkowego PRL-u i (czyżby?) gwiazdy pop kultury przełomu tysiącleci. Nie mogę oprzeć się smutnemu wrażeniu, że promując „Żywoty Mężów Pomarańczowych”, książkę traktującą o kontestatorskich poczynaniach tytułowych postaci, Major z osoby bezlitośnie piętnującej absurdu poprzedniego systemu zmienił się w doskonale zintegrowaną z rynkiem – rozdającą autografy – gwiazdę pop kultury. Czyżby nadszedł czas na odcinanie kuponów od buntowniczej biografii? A może w nowej rzeczywistości nie ma czego kontestować i pora zatroszczyć się o własny interes?

Istotą konkulturury jest umiejętność tworzenia takich elementów rzeczywistości, kreowania takich sytuacji i zdarzeń, które są w swej istocie negacją zasad konstytutywnych dla systemu, a ewentualna próba ich wchłonięcia zakończyłaby się jego całkowitą dezintegracją, praktycznym zniesieniem stanowionego przezeń porządku. Działania nie dające się pogodzić z logiką panującego systemu, istniejąca poza/obok niego, niosą w sobie potencjał rzeczywistości alternatywnej, są wyzwaniem rzuconym rzeczywistości, projektem światów możliwych. Pomarańczowa Alternatywa posiadała umiejętność prowokowania władzy do akcji samo ośmieszających (milicja ganiająca krasnoludki, albo aresztująca świętych Mikołajów), całą powagę działań aparatu represji obracając w farsę, ukazując przy tym w jakim stopniu zaawansowania znajduje się paranoja władzy. Aktywność „Mężów Pomarańczowych” była całkowicie niezrozumiała dla władzy ponieważ jej cechami były żywiołowość, spontaniczność, humor i dobra zabawa, co było nie do zaakceptowania dla skostniałego, starającego się kontrolować wszystko aparatu władzy.

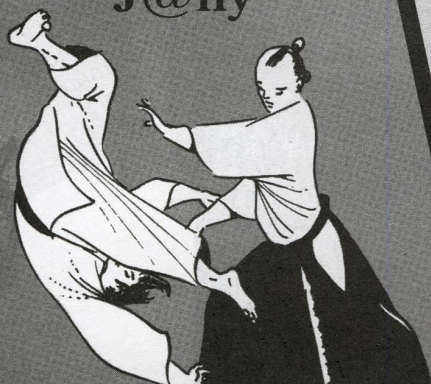
A co zrobił Major? Wprowadził Pomarańczową Alternatywę do rynkowego obrotu, czyniąc z niej towar, uczynił integralnym elementem systemu, neutralizując jej krytyczny potencjał. Tym samym PA podzieliła los najprzeróżniejszych, rewolucyjnych i wywrotowych w swej treści poczyniń artystycznych, które wchodząc do masowego obiegu i z pokorą przyjmując zastane zasady gry, tworzą pewien kanon kultury alternatywnej, funkcjonując jako jeszcze jeden towar na pluralistycznym rynku sztuki i idei. W ten sposób nawet najbardziej radykalna, deklarująca opozycyjność wobec status quo treść, dopóki nie przekłada się na działania realizujące wizję porządku alternatywnego tu i teraz, pozostaje jedynie elementem konserwującym rzeczywistość. Wszelka działalność artystyczna, nawet jeśli jej treść jest werbalnie radykalna społecznie, funkcjonując jako dzieło w odseparowanym od rzeczywistości świecie sztuki, nie jest siłą zdolną dokonać zmiany. Jest swego rodzaju egzorcyzmem, magicznym zabiegiem próbującym odczarować rzeczywistość. Na deskach teatru czy na stronicach książki, rozwiązując fikcyjne problemy fikcyjnej rzeczywistości, bądź też ukazując tragizm i niepowodzenie utopijnych zamierzeń, dokonuje rozgrzeszenia represyjnej rzeczywistości. Artystyczne wizje pełniejszego i lepszego życia są akceptowane jedynie w świecie sztuki, pozostają wizjami, sferą fantazji nie mogącą zaistnieć w realnym świecie i dlatego całkowicie dla niego bezpieczną.

Dopiero realizacja sztuki, aktualizacja wartości wyrażonych w dziele, przełamując granice pomiędzy światem sztuki-idei, a światem rzeczywistym, powoduje, że to, co dotychczas było tylko kontemplowaną teorią, staje się codzienną praktyką. Wartości i pragnienia, które w świątyni prywatności są w stanie stworzyć jedynie niegroźne dzieło, jako motyw działań publicznych i politycznych mogą dać asumpt do społecznej zmiany. Podsumowując – konkulturowość i radykalizm to nie cecha słowa, dzieła czy idei, ale czynu na jaki się przekładają. Urzeczywistnianie wartości to konfrontacja z rzeczywistością.

Major dał nam kolejny przykład, że bunt jest cholernie chodliwym towarem (plakaty z Che sprzedają się równie dobrze jak snickersy, prezerwatywy czy wizerunki Jezusa). A może to ciąg dalszy happeningu? Mam nadzieję, bo inaczej okazałoby się, że Major najzwyczajniej w świecie wykastrował Pomarańczową Alternatywę.

atokamala

J@ny



Oto nadchodzi moment historyczny. Syzyf już dłużej nie chce pchać swojego głazu pod górę. Koniec i chuj, czas z dobrowoli zdelegalizować niepodległość naszej Ojczyzny.

Spełniają się koszmary schyłku życia Józefa Piłsudskiego, ostatniego naszego wodza z jajami. Onż widząc krach swojej koncepcji federacji z Ukrainą, przeczując znowę niedawnych zaborców wymierzoną w bękartą traktatu wersalskiego (tak onegdaj nazwał Polskę W. Mołotow u szczytu swej kariery estradowej) zobaczył dzieło swych najlepszych lat w ruinie, która też i nadeszła cztery lata po jego zgonie. Zgodnie z jego przewidywaniami Fryc z Iwanem szybko dogadali się kto pierwszy trzyma ten dyma, i zrobili to Polonii a sojusznicy patrzyli ciekawie. On wiedział, że bez korzeni na wschodzie Polska nie będzie zdolna do samodzielnego bytu, w najlepszym razie przetrwa jako protektorat albo wasalna republika.

Ostatnie lata Piłsudskiego przypominają nieco ostatnie lata Ghandiego. Obaj ziścili swoje wizje i obaj smakowali goryczy ziszczenia. Poczciwy mahatma patrzył na morze krwi wylaną w wojnie prowadzonej przez jego ukochane dziecię-niepodległe Indie, z Pakistanem, na spalone domy i tłumy uchodźców. Dla niego, któremu przemoc była wstrętna (rozumiemy go, wątył fizycznie nie miał nigdy szans w starciu na pięści), widok rozszalałych krwawych demonów, które własnoręcznie wypuścił z klatki zamkniętej przez Brytyjczyków, nie mógł być przyjemny. Otworzył ją swymi delikatnymi dłońmi nawykłymi do dojenia ulubionej kozy, którą podczas wizyty w Anglii przedstawił samej królowej.

Piłsudski nie miał takich fobii. Dla niego przelewanie krwi, kiedy to okazywało się konieczne, było zdrowym męskim rytuałem, dającym tytuł do szlachectwa i panowania, jak to dawniej bywało. Ostatni nasz wódz zgorzkniał patrząc na demokratyczną perwersję II-ej Rzplitej, przewrót majowy zmienił niewiele i na krótko. Wiedział, że czas się wypełnia.

Zadziwia, z jakim uporem pokolenia Polaków trzymały się idei własnego państwa. Nie będę wyliczał tej litanii zadym i zrywów podczas których masę fajnych Wojtków nadstawiało łeb by przybliżyć ziszczenie. Ciągłe i ciągle i znów. Te szarże, lance i czałki są gdzieś tam w obszarze mroku dziejów, ich egzemplarze za szybami gablot w Muzeum Wojska Polskiego, jak kości dinozaurów, mamrocą dość niewyraźnie, ale jednak zrozumiale. Natomiast szaleństwo patriotyczne naszych dziadków jest jak żywa dłoń wystająca z odmetów. Moje pokolenie

sluchalo opowieści z żywych krtani wprost do ucha. Tu jest dół i tu jest dół, z babami i dziećmi, natomiast tam to my daliśmy im w skórę, no, i też jest dół.

Zastanów się nad stanem umysłu ziomala, który z karabinem w garści wylazł pod gęstym ostrzałem z okopów i, mijając kopiących butami ziemię rannych kolegów, z tymi co jeszcze biegli wespół wrzeszczał hurra. Zastanów się, bo kwestia nie jest blaha. Co to było, to, co kazalo mu stanąć prosto naprzeciw śmierci?

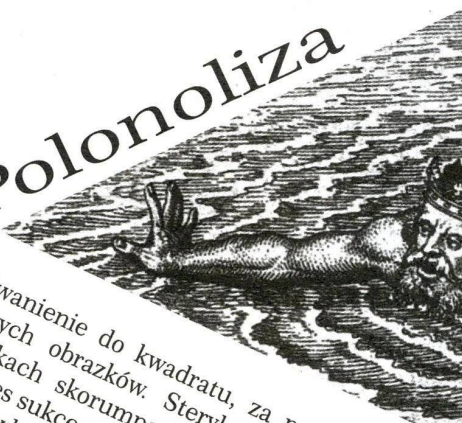
Dziś, kiedy nasi przywódcy przypominają prawników reprezentujących gangi, może wydać się niepojęte, że miłość ojczyzny mogła być takim silnym drakiem. Ze wspomnienie, echo dawnej prawdziwej i pięknej Polski mąciło praktyczny rozum i tłumilo indywidualny instynkt samozachowawczy. Spróbujmy zrekonstruować to ponętne widmo, żeby pojąć moc, która przyprowadzała ziomali o dreszcz.

Jest to bajka o Polsce rozległej jak ocean, wypełnionej przebogatą rozmaitością form życia. Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Żydzi, Ormiaszki. Pierwsza mityczna Rzeczpospolita. Wolna federacja bez stosów, swojski bardak, szlachecka demokracja z wybieralnym królem, konstytucją, swobodami obywatelskimi, sejmem respektującym zasadę konsensusu. Cierń w oku dla ościennych, autokratycznych, zamordystycznych monarchii. Hieny napadają na oazę. Ale każda z osobna dostaje kopa i zwiewa z podwiniętym ogonem. Uda im się dopiero, kiedy atakują zgrają. Rozszarpują kraj na kawałki i zaprowadzają swoje porządki. Teraz brak Matki Polki staje się boleśnie odczuwalny. Kolejne pokolenia będą odrzucały małą stabilizację w ramach cudzego porządku, by gonić tę mglistą chimere. Tęsknota za swojskim, mlekiem pachnącym bardakiem będzie silniejsza niż lęk przed śmiercią, a więc, do dyaska, zajełście silna.

Łatwo z niej sztydzić, kiedy się jej nie ogarnia, trudniej ogarnąć. Ta tęsknota była mentalnym faktem, tak potężnym że trudno dziś w to uwierzyć. Ci, którzy potrafią wejść z nią w rezonans, nie mogą uwierzyć, że tak nagle wyparowała. Niedługo Polacy i Polki powloką się do urn i powiedzą TAK, na śmietnik z tymi zbutwiałymi szmatami.

Kiedy Polonię gwałciły zbrojne kohorty, znajdowała w sobie siłę by stawić opór. Teraz potrząsanie kiesą przed nosem wystarczy żeby położyła się sama. Jest to postawa pragmatyczna wynikająca z przykrych doświadczeń i potrzeby wygody.

Polonoliza



Bałwanienie do kwadratu, za pomocą kolorowych obrazków. Sterylna socjotechnika w rękach skorumpowanych ludzi interesu. Biznes sukceses sponsor gratis. To mantra, którą w każdą z nas jest niemy stwor, dusza, ona nie da się nasycić surogatami. Jeśli jest permanentnie olewana, coa oferta obejmująca szeroki asortyment piguł na rozpacz.

Dusza jest tam gdzie sięgają korzenie. Szła razem z przeszłymi pokoleniami, do naszych rodziców i do nas. Ona coś wie, i coś próbuje pokazać, jeśli obracamy na nią uwagę.

Kiedy komuna chyliła się ku upadkowi, na rozkładającym się jej ścierwie, jak grzyby po deszczu, rosły kościoty o kształtach monstrualnych, w których wymodliliśmy sklepowe i rzeźnicze haki obwieszone produktami. Wymodliliśmy supermarket z wielkimi parafami, upadające promocje i ponizające sensownej robocie włączamy telewizor żeby zgnoić się prefabrykowaną rozrywką i nie widzieć twarzy wespół domowników. Bośmy już wzięli kredyt pod hipotekę i nasz ten dom jest już tylko z nazwy, odtąd będziemy współlokatorami.

Przeto skonstatujemy to, co było jasne w jasnym umyśle zestarzałego Marszałka - okrojona Polska nie jest zdolna do samodzielnego bytu, między młotem a kowadłem potęg, którym nie potrafi się oprzeć. Dziś, po 218 latach od utraty niepodległości, zmęczeni, zdajemy sprzet. Nawet pozbawiona państwa Polska żyła w sercach, teraz umarła i tam. Pora przypieczętować ten fakt, przed samymi sobą i resztą świata.

W chwilach nostalgii wpięprzymy uprzejmie dozwołonego oscypka i posłuchamy Mazowsza z jego najlepszych lat. Nie łammy się, posługiwanie się językiem polskim jest ułomnością, którą można skorygować.

Humanoliza

Atoli polonoliza jest częścią większego pro-
 cesa przetrwania nad globem. Przy-
 jemność, ale zmierzania się
 wyemancypowania się
 ludzkiego

cesu, które bierze on różne postacie w zależności od kierunku, w którym się rozwija. W tym sensie jest to stworzone przez ludzi technosystemy, których kuratę i marginalizację rodzą już tylko na periferiach machiny, co rozwija się już tylko dla siebie. Chciało by się więc powiedzieć - nie szkoda róż gdy plonie las.

Proces ów nie jest wynikiem jakiegoś spisku mrocznego. Ot, w samoreplikującej się pragmatycznej zawarta była rozwojowa potencja, która zrealizowała się w człowieku, a w ludzkości co oswajała narzędziami, tkwił potencjał technomochów, jak fenotyp organizmu zakodowany w DNA, albo raczej jak Makbet w mózgu Szekspira, gdy autor był dziecieniem. Obecnie mówimy jak technosfera zaczyna przuć potworka usamodzielnianego, który mały poglądowy ich zbliżającego

obszerniejszą i bardziej ludzką wykładnię tego uroczego prześląd i poczynny melancholiję się odjazdu.

Coraz większe masy kapitału koncentrują się w rękach coraz wąskiej grupy ludzi. Rozmiary i tempo tego zjawiska dysproporcja między potrzebami łożonymi na zaspokojenie najniższych potrzeb ludzi, a środkami ładowanymi w wysięg technologiczny, którego owoce są przeznaczane dla garstki, albo w ogóle niedalhe. Służą za to rozwojowi technosfery jako autonomicznego podmiotu. Pieniądz rodzi pieniądź, pieniądź ochrania pieniądź, pieniądź jest narzędziem, przez które technosfera ssie energię z biosfery.

W fazie mechanicznej technologii, w fazie informatycznej, niezbędni przy

jest
 żywotne... technol...
 Rozwój... pracę...
 uczynił zbędną pracę. Ludzie nie są potrzebni, na
 tycznej - mózgow. Nie są potrzebni najemni, na
 produkcji i zarządzaniu. Nie są potrzebni najemni,
 jako niewolnicy, ani pracownicy, ale jest to w co-
 razie jeszcze jako konsumenci. Usługi,
 raz większym stopniu pusta konwencja. Usługi,
 Molocha staje się samowystarczalny. Usługi,
 tak nazywa się dział gospodarki, który
 ludzi bez zająć. Zająć się sobą.
 Moloch potrzebuje surowców i sektora ba-
 Imperializm w fazie postindustrial-
 przez swoją funkcjonalną
 motorem napędowym,
 obrastającym

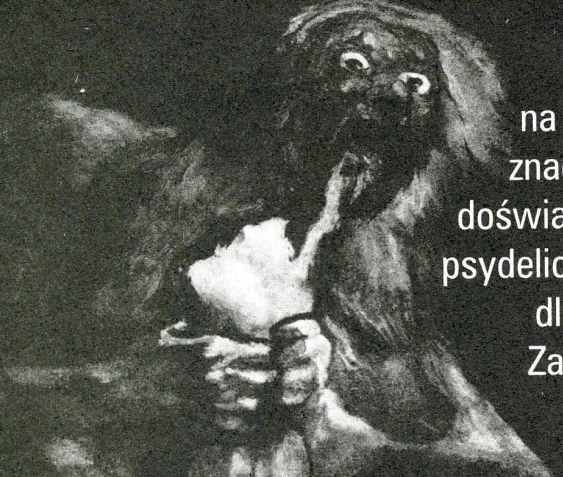
Można powiedzieć, że najważniejszą rolę w tym procesie odgrywa infrastruktura. Infrastruktura jest dla niego najważniejszą strukturą, znakomitym miejscem, gdzie jest też wygodnym ruszowaniem infrastruktury produkcyjną i informatyczną.

人 仁 心 之 大 也

M-City zachęca do budowania nowych obiektów, miast nie tylko wirtualnych ale również do samodzielnego kreowania własnego otoczenia i wpływania na jego kształt nie koniecznie jako m-city. Inne formy jak koszulki, kubki itp. gadzety mają jedynie pokazać jak w prosty sposób można zrobić tego typu rzeczy. [m] www.m-city.priv.pl/



KaM...



Kilka uwag na temat znaczenia doświadczeń psydelicznych dla ludzi Zachodu

KaMaL

Kto zapoznał się z poglądami Tima Learyego i Alda Huxleya na kwestię psydelicznych eksperymentów i tak już obczaja bazę. Jednak era beatnickich i hippisowskich bezgrzesznych, radosnych eksploracji otchłani psychicznych minęła dawno. Warto zastanowić się dzisiaj jakie szanse zostały zaprzepaszczone i określić przyczyny tego stanu rzeczy. Choć od czasu psydelicznej rewolty liczone w tonach spożycie psychoaktywnych substancji znacznie wzrosło, to odnoszę wrażenie, że potencjał, do którego są kluczem, pozostał niewykorzystany; albo wykorzystany tak, że działa jak swoja własna antyteza.

Używanie dragów mocno wrosło w obyczaj ludzi Zachodu. Ma to swoje konsekwencje społeczne, ekonomiczne, kulturowe itd. Nie mam za bardzo ochoty próbować silić się na ich dogłębną analizę, to zresztą wykracza poza moje kompetencje. Zajmę się tylko sprawą indywidualnego doświadczenia wglądu w obszary umysłu, do których dostęp psydeliki otwierają.

Człowiek Zachodu, wkręcony w technosferę, którą zapobiegliwie montował, by zabezpieczyć się przed tym czego się lęka, ma coraz większego stracha. Tyra, pochłonięty swoją rolą, jakby walczył na śmierć i życie o przetrwanie. Ma coraz mniej czasu, by patrzeć na żywe twarze swoich bliskich, bo ciągle wlepił spojrzenie w ekrany, monitory i ciekłokrystaliczne wyświetlacze. Ulga jaką znajduje w kompulsywnych rozrywkach oferowanych przez multimedialny szolbiznes jest tylko chwilowa i jeszcze bardziej oddala go od źródeł istotnej, konkretnej satysfakcji egzystencjalnej. Jego permanentnie wywleczone na zewnątrz uwaga jest przyklejona do kolorowych migających obrazków hurtowo wytwarzanych i dystrybuowanych przez różne holiłudy. Wśród mas w zastraszającym tempie szerzy się przywiązanie do kultu namiastek.

Ot, taki sliwkowy placek babuni babunia kupuje w megamarkecie (20% gratis) przed wizytą wnucząt, jeśli do niej dochodzi, bo przecież wnuki mogą go sobie, jak zechcą, kupić same. Coraz mniej mamy sobie wzajemnie do zaoferowania, bo przebijają nas swoją ofertą Monstrualny Rynek. Przebijają na wyłot.

Ta nieustannie przywiązana do zewnętrznych obiektów uwaga trwale blokuje wgląd wewnętrzny – nie dość, że z innymi, tracimy kontakt sami ze sobą. W takiej sytuacji nasza świadomość bez oporu poddaje się medialicznemu wpływowi mediów, przyswaja sobie wzorce postępowania i syntetyczne pragnienia, co syntetycznie zostają zaspokojone. Rzeczywiste pragnienia, z których – pozbawieni ze sobą kontaktu – nie zdajemy sobie sprawy, niemo w nas wyją i odczuwamy je jako lęk. Racjonalizujemy jego przyczyny używając paradygmatu whipnotyzowanego nam przez media Systemu i posługujemy się, uciekając przed niepokojem, sposobami, których realizacja dostarcza Systemowi energii.

Nie interesuje mnie kwestia rozwalania systemu, bo – jak sądzę – upadnie i tak pod własnym ciężarem, rozsadzony narastającymi wewnętrznymi sprzecznościami. Interesuje mnie, jak można wysmyknąć się spod jego wpływu indywidualnie. Chodzi mi o siebie samego i o ciebie, który to czytasz.

Przeto wróć do kwestii zasadniczej, jakie sposoby mogą się okazać na tej drodze skuteczne. Po pierwsze – trzeba przywrócić kontakt z własnym umysłem. Potoczna świadomość, która zazwyczaj ogniskuje nasze poczucie osobowej tożsamości, jest tylko umysłu powierzchnią. Mylnie odbieramy nasze wewnętrzne monologi za jedyny przejaw jego aktywności. Ulegamy złudzeniu, że pojąć można tylko to, co da się zmieścić w objaśniającej słownej formułce. Absolutyzujemy znaczenie języka jako narzędzia opisu i poznania. W zetknięciu z psychiczną głębią nie zdadzą się nam na nic uparte

próby posługiwania się słowami przy ogarnianiu jej doświadczenia, mogą je tylko uniemożliwić. Istotnego znaczenia treści tych doświadczeń nie można zawrzeć w werbalnym komunikacie, czy to skierowanym do samego siebie czy do drugich. To, co siedzi w nas głęboko, jest starsze od kultury i języka. Tam jest Tajemnica. Niewiele chce się z nią zmierzyć, więcej jest takich, co nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że tego pragną.

Wielki temu niektórzy ludzie nauczyli się przeświecać własne czaszki*. Ci z nich, którzy postanowili, że podzielią się wiedzą jak tego dokonać, wskazywali drogi i metody, bo nie ma żadnej magicznej formuły, która by załatwiła sprawę za adepta. Metody wskazywane przez Mistrzów wymagają żmudnego wysiłku i zaufania, że okaże się skuteczny. Zaganiany człowiek Zachodu nie ma szans żeby je zastosować. Każdy długotrwały wysiłek nie zmierzający do osiągnięcia wymiernych materialnych efektów wydaje mu się podejrzanym.

Świat zewnętrzny jest dla niego jedynym realnym. Nie wierzy, że jest też i tam skąd przychodzą sny i że tam również może efektywnie działać.

Dlatego właśnie doświadczenie kreacyjnej mocy umysłu, które daje umiejętne zastosowanie środków halucynogennych, jest takie ważne dla ludzi zakręconych i wkręconych w świat przejawiony materialnie. Rzecz jasna nie jest to cel sam w sobie. Ale dzięki wglądowi zainicjowanemu chemicznie adept uzmysławia sobie z całą konkretnością, że jest kimś znacznie rozleglejszym niż uwarunkowanym jak pies Pawłowa konsumentem. Ta świadomość może wzmocnić wiarę w sensowność podejmowania konsekwentnych wysiłków zmierzających do zgłębienia Tajemnicy. Że ona JEST, że to nie humbug katabasów i sekciarzy.

To właściwie wszystko, co na ten temat miałem do powiedzenia. Na koniec jeszcze parę uwag i dygresji.

Osobnicy z Zachodniego kręgu kulturowego, którzy na przełomie lat 50-tych i 60-tych zetknęli się z mocnymi psydelikami byli przekonani, że odnaleźli Graala. U nas bodaj pierwszym był Witkacy, który mocno przeżył odstonę w trakcie peyotlowych wizji.

Chyba śmiało można się pokusić o postawienie tezy, że hippisowska kontrkultura swoją siłę czerpała z radosnego odkrywania cudów krain leżących daleko poza strefą kontrolowaną przez powierzchnię świadomości. Doświadczywszy tych niesamowitości nieustannie paplali o wolności i pokoju, bo tam na nie natrafili, przekraczając swoją osobową tożsamość, wchodząc w kosmos uniwersalnego umysłu. Po zeżarciu rajskiego owocu i ustaniu działania nektarów które zawierał, czekało ich wygnanie do świata, gdzie obowiązują prawa fizyki oraz Systemu. I trzeba im oddać sprawiedliwość, że starali się jak mogli zaszczyć w nim coś z edenowego herbarium. Jednak na ogół nie uświadamiali sobie, że w te obszary można wracać przytomnie i zagospodarowywać je, nie tylko oglądać przez chwilę jak z okien pędzącego rollercoastera w wesołym miasteczku. To wymagałoby trudu, a oni woleli zajmować się wolną miłością, czego nawiasem mówiąc, nie mam im za złe, najwyżej mogą zazdrościć.

W opresyjnym społeczeństwie wyalienowany człek gorączkowo poszukuje choćby chwilowej ulgi. Alternatywą dla masowej rozrywki, wysokiej kultury, czy Iona Natury jest działka. Złą prasę psychonautom zrobił nalogowi narkomani używający opiatów. Tysiące historii degeneracji i upadków spowodowanych kompulsywną narkomanią publiczność zaczęła kojarzyć z wszelkimi eksperymentami psydelicznymi. Delegalizacja, penalizacja zrobiła z miłośników odjazdów wyrzutków z marginesu. To tylko nakręciło koniunkturę dla bandytowatych biznesmenów zajmujących się dystrybucją dragów. Najlepszym towarem z ich punktu widzenia był ten, który powoduje uzależnienie. Teraz ten dział w szarych strefach narodowych gospodarek w dużym stopniu łąta materialny parytet dla pustych pieniędzy drukowanych bez opamiętania przez gospodarce mocarstwa pod gwarancję długów dla niewypłacalnych Murzynów. Dochody z nielegalnego obrotu dragami są większe niż z międzynarodowego handlu bronią. Fakty mówią za siebie. Przy tej skali obrotów jest niemożliwe żeby interes nie był kontrolowany przez rządy, dlatego tak usilnie przestrzegają one prohibicji psychoaktywnykaliów, do jednego wora wrzucając niewinną marihuanę, grzybki, peyotla czy LSD z niebezpieczną heroinę, spidami i kokainą.

Dziękuję za uwagę.

A, jeszcze jedno. Szeroka publiczność używa psychoaktywnykaliów do podkręcenia dobrego samopoczucia przy okazji imprez i spędów. Warto sobie uświadomić, że to nie najlepsze okoliczności do dogłębnego przeżycia wewnętrznej podróży. Hedonka, czemu nie? Ale nie warto płać jednego z drugim. Houk

* Powszechnie wiadomo jakie znaczenie miały psychoaktywnykalia przy inicjacjach w kultach religijnych zamierzających epok.



Mi X

TAKA SOBIE BAJECZKA

Dawno, dawno temu ludzie żyli w miastach państwach. Każde miasto wraz z przyległymi do niego terenami było samodzielnym krajem, z własnym władcą i prawami. W niektórych państwach panujący byli mądrzejsi, w innych zdarzali się głupcy. W miastach, gdzie rządili chciwi durnie szybko wybuchały bunt, które wyносиły do władzy kolejnych władców – czasami mądrzejszych, zazwyczaj równie złych jak ich poprzednicy – przeciwko którym wybuchał znowu bunt. Nawet tam, gdzie rządził rozważny i uczciwy pan zawsze przychodził moment, w którym sytuacja w takim mieście-państwie zmieniała się tak szybko i tak bardzo, że poszczególni władcy przestawali sobie z nią radzić i lud obwinając ich winą za wszystko buntował się przeciwko tym, których kochał jeszcze dzień wcześniej.

W czasie takich buntów ludu zazwyczaj tracił życie władca i ich rodziny, a także wielu urzędników, którzy wykonywali ich rozkazy. W czasie zamieszek ogromne majątki tracili także najbogatsi mieszkańcy, a kupcy musieli przerywać swoje interesy i przepadały ich towary w magazynach. Często w wojnach domowych lub interwencjach innych miast-państw płonęły zbiory, co sprowadzało głód, a obce armie grabiły ziemie państwa-miasta. Praktycznie taka sytuacja dotyczyła każdego mieszkańca oraz niszczyła spokojne życie i poczucie bezpieczeństwa wszystkich.

W jednym z takich miast-państwa zrozumiano, że aby utrzymać spokój i stabilność trzeba zmieniać władcę, kiedy pojawiają się najmniejsze oznaki buntu ludu. Ale jak to zrobić by władca chciał oddać władzę i nie wezwał obcych wojsk na pomoc? Odpowiedź okazała się prosta: trzeba zagwarantować mu, że ani on, ani nikt z jego rodziny nie straci życia, a jeśli ponownie pozyska przychyłność ludu będzie mógł ponownie wrócić do władzy. Jedynym problemem było pytanie: skąd wiadomo, czy władca wciąż cieszy się poparciem ludu? Jak to zmierzyć? Rozwiązano to szybko ustalając, że co roku mieszkańcy miasta-państwa posiadający takie prawo (zwani od tej pory obywatelami) będą wybierać. Jeśli dotychczasowy władca będzie się cieszył poparciem, zostanie wybrany ponownie, a jeśli utraci zaufanie obywateli będzie wybrany inny. System taki nazwano demokracją, czyli „władzą ludu”, choć nie wiele ma ona wspólnego ze zwykłymi ludźmi.

Oczywiście takie rozwiązanie nie zlikwidowało powodów, dla których lud się buntował, ani nie spowodowało, że władcami zostawali częściej – niż to było wcześniej – mądrzy ludzie, nie dało to też ludziom realnie większej wolności i swobody, choć dużo zmieniło się w sposobie, jakim rządzono ludem. Stopniowo władcy dbający o to by zostać ponownie wybranym używali częściej oszustwa i niespełnionych obietnic niż siły, wojny prowadzili w imię wolności, a nie wprost dla zdobycia bogactw, odwoływali się do miłości ojczyzny i poczucia obowiązku. Teraz jednak złość ludu nie miała czasu by dojrzeć do buntu, skoro co roku lub co kilka lat zmieniano władcę i zanim ludzie zdążyli zniechęcić także nowego – wybierano już kolejnego.

Zresztą wielu ludzi zaakceptowało takie rozwiązanie w imię porządku, bezpieczeństwa i stabilności, jaką zapewniało wprowadzenie demokracji. Wiele ludzi skorzystało na częstych zmianach rządów i rozbudowie biurokracji. Nie brakowało też ludzi zadowolonych ze swojej sytuacji, którą porównywali z innymi częściami świata, gdzie nie wprowadzono tak stabilnej formy rządów. W sumie większość uwierzyła zmieniającym się co jakiś czas władcom (którzy teraz zaprzysiężni się ze sobą, choć nadal oficjalnie konkurowali, podzieliwszy się na różnego rodzaju kluby), że choć nie jest to najlepszy sposób rządzenia, to nie wymyślono lepszego.

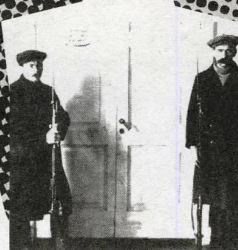
Jak to się jednak stało, że wprowadzono demokrację i potem tak wiele się zmieniło w jej działaniu?

W każdym społeczeństwie wyróżniały się zawsze pojedyncze osoby, które miały ponadprzeciętne poczucie sprawiedliwości i moralności. Ludzie ci zawsze występowali przeciwko przewineniom władcy, błędom organizacji i proponowali szereg reform, które miały poprawić życie ludu. Na początku władcy bojący się o swoją władzę i o to, że tacy ludzie mogą zostać przywódcami buntu prześladowali ich, a czasami na-

wet kazali ich zabijać. W pewnym jednak momencie któryś z władców odkrył, że tacy ludzie wskazują miejsca we władzy, które powodują wybuchanie buntów i niezadowolone ludu. Jeśli teraz zamiast zamykać im usta, pozwoli im się mówić (oczywiście nie o wszystkim od razu) i naprawi się to, o czym mówią (oczywiście niekoniecznie w sposób, w jaki o tym mówili), będzie można opóźnić niezadowolenie ludu, a nawet odzyskać jego zaufanie, by zostać ponownie wybranym. Władcy odkryli, że takie zachowanie nie tylko nie osłabia ich władzy, a wręcz czyni ją silniejszą i trwalszą (nawet, jeśli teraz muszą się wymieniać co jakiś czas stanowiskami). To dziwne, ale w ten sposób władza stała się silniejszą, bo mniej wrażliwa na bunt. W ten sposób wprowadzono demokrację i powiększano coraz bardziej grono obywateli, aż rozciągnęło się ono na wszystkich dorosłych mieszkańców, stopniowo też przyznawano obywatelom coraz więcej swobód osobistych, pod warunkiem, że nie kwestionowali władzy jako takiej.

Nie zlikwidowano prawdziwej przyczyny buntu, jaką jest władza człowieka nad człowiekiem, ale udało się zlikwidować prawdziwy bunt. Zresztą to, co mówili władcy, że demokracja nie jest najlepszym rozwiązaniem, ale nie wymyślono lepszego, było poniekąd prawdą. Przecież nie jest to doskonale rozwiązanie dla władcy, ale nie ma lepszego niż to, w którym władani akceptują, że są władani. Ku rozczarowaniu tych nielicznych, co zawsze występowali przeciwko rządzącym, większość ludzi wybrała poczucie bezpieczeństwa i stabilność, a nie wolność, która niesie ze sobą chaos i większą niepewność. ■

Wybór największego kabaczka z upraw ekologicznych; pierwsze miejsce zdobyła spółdzielnia kamaszniczorołna z Częstochowy.



Uczestników majówki ucieszyła informacja o słusznym przewrocie dokonanym przez guerille z Trapeziku. Powyższe zdjęcie nie schodziło z telebimu przez całą majówkę.

Redaktor Don Perinion poprosił mnie o napisanie notatki z naszej ostatniej majówki, zaznaczając, że jej opis może być mniej obszerny niż ostatnie, ponieważ nakład naszego biuletynu został zmniejszony o prawie 60 %. Warto zaznaczyć, że ta zmiana nie wynika ze zmniejszenia zainteresowania naszymi wspólnymi działaniami, wprost przeciwnie. Coraz więcej osób uczestniczy bezpośrednio w przedsięwzięciach Unii Spółdzielców, w tym i organizacji pikników, więc coraz mniej członków spółdzielni potrzebuje relacji z naszej działalności. Jednak dla tych licznych, których nie było, krótka informacja:

Majówka w tym roku odbyła się w gospodarstwie Kociebrody na Kaszubach. Do majówki udostępniono nam kilkanaście ha gospodarstwa ekologicznego należącego do Spółdzielni „Kaukaz”, od wielu już lat specjalizującej się w hodowli koni rasy kabardyńskiej.

W tym roku, podobnie jak w ubiegłym, przez trzy dni odbywały się następujące imprezy:

- konkurs chórów spółdzielczych; w konkursie brało udział 16 chórów, do finałów doszło 5, wygrał chór dziewczęcy z Poznania,
- wybór największego kabaczka z upraw ekologicznych; pierwsze miejsce zdobyła spółdzielnia kamaszniczorołna z Częstochowy,
- zawody łucznictwa konnego (nie ogłoszono wyniku, dokładniej o tym w dalszej części tekstu),
- degustacja win własnej roboty; w tym roku znowu wygrał kolega Kreol z Niewiedzy,
- przegląd filmów erotycznych Zytomierza Matyska wraz z pokazem wykonania faletto podczas skoku spadochronowego (pokaz skoku odbywał się wieczorem, ze względu na dzieci),

- pokaz sztuk walki stylu Mey-du-za prowadzony przez mistrza Yamo-xon ze spółdzielni ochraniarskiej z Inowrocławia,
- prezentacja slajdów i filmów z podróży poszczególnych członków spółdzielni w ramach projektu „pokaż gdzie byłeś i komu tam pomogłeś”.

Przedstawiono relacje ze 106 wyjazdów (niestety, znowu nie było żadnej relacji z Europy Zachodniej):

- pokaz wyszkolenia psów ratowniczych; wspaniałym nosem, podobnie jak w poprzednich latach, wykazał się labrador Czyk,
- rowerowy cyrk „Koło Macieja”, wspaniała prezentacja umiejętności jazdy na jednym, dwóch i czterech kółkach spółdzielni rykszarzy z Wrocławskich Krzyków.

oraz wykłady:

- Ruch spółdzielczy na Antarktydzie.
- Problemy natury etycznej w zastosowaniu LETS-ów w rozliczeniach z domami publicznymi.
- Architektura żywa w nekropoliach.
- Problemy relacji interpersonalnych na podstawie badań przeprowadzonych wśród członków Spółdzielni „Miłość”.

Podobnie jak w ubiegłym roku wszystkie wspólne posiłki były okazją do zaprezentowania własnych produktów poszczególnych spółdzielni. Dużym zainteresowaniem cieszyły się potrawy z glonów Wolnej Komuny z Tokio.

Nie wdając się w dokładny opis przebiegu wszystkich imprez, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że kolejny nasz piknik integracyjny był udany.

Wyjątkiem był incydent związany z DYMEM I STRZELANIEM. Z racji na wagę zdarzenia poświęcę mu więcej miejsca w relacji.

Otóż już w ubiegłym roku sygnalizowałem, że zgromadzenie tak wielkiej ilości grillów w jednym miejscu wymaga koordynacji. W tym roku ludzie z węglem drzewnym roz-

stawili się w pobliżu trasy strzeleckiej. Doprowadziło to do tego, że podczas zawodów strzelania z konia dym z grillów poważnie utrudniał trafianie do celu! Trzech zawodników wycofało się z konkursu na znak protestu. Nie dziwi też nerwowa reakcja zawodnika reprezentującego Spółdzielnię Informatyków, który po konkursie, sobie tylko znanym sposobem, unieszkodliwił programy komputerów sterujących temperaturą w kilku elektro-grillach, efektem czego były zwęglone kielbaski i surowe kotlety sojowe przez całe popołudnie drugiego dnia. Konflikt zwolenników grillów z resztą uczestników imprezy został rozwiązany ostatniego dnia majówki. Na specjalnym zebraniu wypracowano – jak sądzę – konsensus, polegający na tym, że w następnych latach zgodzono się grillować tylko tam, gdzie nie będzie to nikomu przeszkadzało.

Tak więc, mając nadzieję, że grillowy incydent się już więcej nie powtórzy, już teraz zapraszamy wszystkich członków spółdzielni na rok następny na naszą wspólną zabawę. Szczegóły wkrótce.

PS. Podobnie jak w poprzednich latach przeciwko naszym spółdzielniom protestowano przed bramą wjazdową na teren gospodarstwa. Niestety, nie mogę dokładnie zdać relacji z tej kontr-majówki, ponieważ moja 16-letnia córka, która miała spisywać informacje z jej przebiegu z kasety nagrałej przez kamerę na bramie, zaraz po spisaniu nagrała na tę kasetę jakiś swój ulubiony zespół. Natomiast przygotowaną przez nią kartkę z opisem protestujących organizacji, transparentów i hasel pogryzł mój pies. Z tego co udało mi się odczytać, to w tym roku w proteście uczestniczyli: Związek „Własność Prywatna”, Partia Konserwatywno - Biurokratyczna, Związek Bankowców, Kółko Różańcowe z Matemblewa, Federacja Młodych Menadżerów, Frakcja Giełdowa „Żółte Szelki”. Zainteresowanych przebiegiem protestu informuję, że jakiś materiał na ten temat posiada prawdopodobnie regionalna TV gminy Kociebrody.

...podczas zawodów strzelania z konia dym z grillów poważnie utrudniał trafianie do celu! [...] Nie dziwi też nerwowa reakcja zawodnika reprezentującego Spółdzielnię Informatyków, który po konkursie [...] unieszkodliwił programy komputerów sterujących temperaturą w kilku elektro-grillach, efektem czego były zwęglone kielbaski i surowe kotlety sojowe...

